

IRENA PŁOTNICKA

ur. 1917; Żminne



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, edukacja, szkoła urszulanek, gimnazjum, nauczyciele, koleżanki, siostry zakonne, przebieg dnia, Beata Kelles-Krauze, Beata Artemska

Nauka u urszulanek w Lublinie

My dzieciństwo właściwie spędziłyśmy na Suwalszczyźnie w Puszczy Augustowskiej, bo ojciec był nadleśniczym. Później rodzice nas umieścili w pensjonacie przy gimnazjum sióstr urszulanek w Lublinie. Szkoła była, że tak powiem, niemal elitarna, bo miałyśmy koleżanki albo zamożne bardzo, albo pochodzące z rodzin ziemiańskich. Dlaczego ziemiańskich? No, bo trudno było dziewczyny uczyć na wsi, trzeba je było oddać do miasta, a szkoła miała bardzo dobrą opinię, w szkole tej poziom był wysoki. Trzeba było nawet z wyprawą [przyjść], nie tylko trzeba było mieć mundurek i rzeczy osobiste, ale także dać nakrycie i jeden obrus każda musiała dać. Z sentymentem [wspominam szkołę] i właściwie byłyśmy ogromnie zżyte, zwłaszcza pensjonarki, czułyśmy się jak siostry.

Nauczyciele przeważnie świeccy, no, tam może z kilka zakonnic było też nauczycielkami jednocześnie. Nie miały żadnych uprzedzeń, że tak powiem, nawet nacjonalistycznych, dlatego że łacinnik nasz był znanym działaczem ukraińskim, nawet antypaństwowym – pan Jan Baran – ale ponieważ był doskonałym nauczycielem, więc zakonnice go zatrudniły. Poza tym był bardzo zabawny młody matematyk – pan Mielnik, któremu robiłyśmy przeróżne kawały. Miał zwyczaj siadania na parapecie okiennym, to smarowało się parapet okienny kredą. On wychodził z klasy ze spodniami usmarowanymi na biało. No i inne temu podobne historie. Potem był tak zwany Kazio Drygonogi. To był nauczyciel chemii. Miał takie ruchy jakieś, że ciągle jakby podskakiwał, jakby mu drgały nogi. Więc Kazio Drygonogi miał zwyczaj nawet prawić uczennicom komplementy. Na przykład [siostrze] mówił: „Pani ma agatowe oczy”. A myśmy nie wiedziały, jakiego koloru są agaty. Dopiero teraz wiemy, że są różne – i szare, i zielone, i żółte, i przeróżne. Był taki, że dla szkoły bardzo był uspołeczniony. No i potem był pan Wilkoszewski, który uczył nas chemii. Ale pan Wilkoszewski był bardzo przez nas nielubiany, po prostu

ztruwał nam życie. Dwóje się sypały jak grad. To był maleńki garbusek, szalenie złośliwy i wymagający, i – o dziwo – miał piękną żonę i dwie bardzo ładne córeczki. I myśmy się nie mogły nadziwić, jak taka piękna kobieta mogła wyjść za garbuska. Więc robiłyśmy mu na złość – ile razy były doświadczenia, nigdy się nie udawały. Na przykład doświadczenie na przyśpieszenie grawitacyjne polegało na tym, że pan Wilkoszewski miał w pewnych odstępach na sznurku umieszczone ciężarki. Patrzył na stoper i w zależności [od tego], kiedy one spadały, wyliczał czas. To było bardzo dobrze zrobione, ale mu się nigdy nie udawało. Na piętrze była pracownia chemiczno-fizyczna i te ciężarki na sznurku miały spadać. Uderzały o chodnik, więc było słyhać. Część dziewczynek była na dole, część w pracowni na górze, zawsze to się odbywało w takiej porze roku, że można było otwierać szeroko okna. A na pierwszym piętrze dziewczynki w otwartych oknach czatowały ze szczotkami do zamiatania, które znajdowały u sprzątających zakonnic, tych tak zwanych konwenckich, czyli sióstr tych niewykształconych, i kiedy spadały te ciężarki na sznurkach, podtrzymywały szczotką i pan Wilkoszewski patrzy na stoper, powinno być już słyhać stuknięcie ciężarków, a tu cisza, nic nie spada. Dopiero z ogromnym opóźnieniem spadały. Nie mógł zrozumieć i nigdy się tego nie dowiedział. Tak samo z ciśnieniem w cieczach i gazach – były doświadczenia, które się nigdy nie udawały, chociaż cylindry były napełnione wodą, miały kraniki na różnej wysokości, że ciśnienie dołem było większe niż na górze, robiłyśmy coś takiego, że się nie udawało. Biedny, umarł na bardzo złośliwą grypę i miałyśmy straszne wyrzuty sumienia. To była zima, kiedy był jego pogrzeb, klasa się złożyła na ogromny bukiet różowych goździków, które mu włożono do trumny. Ale miałyśmy straszne wyrzuty sumienia. Po nim przyszła uroczą panną Piaskowska czy Piasecka, niech będzie Piasecka, która wyglądała tak jak dziewczynka z filmów [animowanych], w tym typie. Taka twarzączka zupełnie jak z rysunkowych filmów. I myśmy ją nazywały Betty Boop, dlatego że właśnie taka dziewczynka w filmach występowała. Ale tak nas uczyła fizyki, że jedna z naszych koleżanek potem w tym kierunku się dalej kształciła, a obecnie jest profesorem na Uniwersytecie Wrocławskim.

Oprócz *madame* Gradowskiej zaangażowały urszulanki młodą panią, która świeżo przyjechała z Paryża – nazywała się Dłużniewska, ale nam nie mówiono jej nazwiska – i ona udawała Francuzkę. I rzeczywiście, trzeba było się wysilać, bo czasem do pani Gradowskiej, już jak się nie znało jakiegoś słowa, się powiedziało po polsku, ona podała zaraz znaczenie francuskie, ale nowa *madame* w ogóle udawała, że nic nie rozumie po polsku i myśmy bardzo dużo przy niej korzystały, bardzo dużo. *Madame* Dłużniewską spotkałam w sześćdziesiątym którymś roku na wycieczce nauczycielskiej do Łańcuta. I wtedy właśnie porozmawiałyśmy, i ja mówię [jej], ile czasu myśmy nie wiedziały, że ona jest Polką.

Tylko były u nas Polki, katoliczki. Pochodzenia żydowskiego były, ale były ochrzczone, bo szkoła była przecież wybitnie katolicka. Pamiętam, uczyła nas religii jakiś czas zakonnica. I myśmy mówiły, że przecież człowiek powinien żyć zgodnie z

prawami natury, a w katolicyzmie jest to, że celibat dla księży, zakonnice żyją w samotności i biedna zakonnica, była młoda, czerwieniła się bardzo, jak słuchała takich zdań. Potem jakiś czas historii starożytnej uczyła nas zakonnica, którąśmy nazywały Ramzes III i zatruwałyśmy jej strasznie życie – była nowicjuszką i klasa wtedy umawiała się, że na lekcji wszystkie będą bzykać – zzzzzz. To tak jak czterdzieści osób jednocześnie robi „zzzzzz”, to można było oszaleć.

Spałyśmy w sypialni, która była podzielona tak jak boksy końskie, takie przegródki [były], zasłony z batystu kremowego podpięte szarfą niebieską. Każda miała umywalnię przy łóżku. Na drugie śniadanie tośmy zbiegały do stołówki, do sali jadalnej, no i tam w sezonie była piramida pomidorów, bo zakonnice mają ogród tam, jeszcze do dziś dnia uprawiają warzywny, kwiatowy i owocowy. Po drugim śniadaniu znów na lekcje, a po lekcjach na obiad. Przed obiadem wszystkie musiały stanąć dookoła stołu i [odmówić] modlitwę tej treści: „Pobłogosław, Panie Boże, te dary, które będziemy spożywały, przez Chrystusa Pana naszego. Amen”, no i siadałyśmy do stołu. Co dzień inna dziewczynka miała dyżur. Dyżur polegał na tym, że odbierała przez takie okienko z kuchni wazę i z tą wazą przychodziła, z lewej strony każdej z koleżanek podawała wazę, żeby sobie nabrały zupę. To samo było z drugim daniem – półmisek z lewej strony zawsze musiała podsunąć koleżance. Jeśli chodzi o jedzenie, uważałyśmy, że zakonnice dużo rzeczy knocą. Nieraz nie można było poznać czy to wołowina, czy to cielęcina. Obiad był zawsze z trzech dań, na deser nieraz był mops, czyli rodzaj takiej galaretki z ubijanego koglu-moglu z pianą z białek, z sokiem cytrynowym i na żelatynie. Nazywałyśmy to „mopsem”. Nieraz na deser były tylko jabłka, ale rzeczywiście wspaniałe, przywiezione od rodziców którejs z uczennic, tych ziemianek, kompoty i ciasteczka. O dziesiątej wieczór klasa maturalna dostawała do sypialni jeszcze albo ciasto drożdżowe, albo kruche ciastka, bo musiała się dobrze odżywiać. Po obiedzie spacer parami. Na salce jadalnej, tak zwanej kamiennej, która miała takie sklepienie krzyżowe, do dziś dnia tak wygląda, miałyśmy już swoje palta, które przed obiadem zabierałyśmy, żeby się prędko ubrać po obiedzie. No i po obiedzie tramwaj urszulański wyruszał na miasto. Najbardziej lubiłyśmy chodzić do à jardin de Saxe albo iść tam daleko, gdzie wtedy budowało się obecne liceum imienia Stanisława Staszica, więc iść w tę stronę do staszicaków. A przedtem gimnazjum Staszica było blisko urszulanek i dziewczynki, jak grały w siatkówkę, zawsze starały się walić piłkę na aut, żeby spadła za mur, żeby mieć pretekst wyjść po piłkę i przy okazji jakoś spotkać chłopaków ze Staszica, czy tam przez okno porozumieć się z nimi. Po powrocie odrabianie lekcji, potem kolacja. Po kolacji wszystkie [szły] na aulę, gdzie jedna z dziewczynek grała na fortepianie. Fortepianów, pianin było dużo, bo przychodziła nauczycielka gry na fortepianie i dużo dziewczynek się uczyło. Francuski i gra na fortepianie, to było obowiązkowe. No, niemieckiego uczyłyśmy się też. No i dziewczynki wtedy tańczyły jedna z drugą. Obowiązkowo tańczyłyśmy i dla przyjemności. Po tych tańcach, która jeszcze miała nieodrobione lekcje, mogła trochę sobie posiedzieć, ale obowiązkowo o dziewiątej

musiałyśmy iść do sypialni. Wtedy nasza wychowawczyni internatu w sypialni stawała, podchodziło się do niej i ona każdej z nas na czole robiła palcem znak krzyża, a myśmy ją całowały w rękę i mówiły „dobranoc”. I dziewczynki szły spać. I potem tak – chodzenie do łazienki z dzbankiem po ciepłą wodę, mycie, bo rano, jak się szło na mszę, to trzeba się było śpieszyć, więc gruntowne mycie było wieczorem. Kąpiel odbywała się dosyć rzadko. W dużej łazience jedna za drugą ustawione [były] wanny, tylko przegrodzone zastoną. Podobno, nie za naszych czasów, dawniej zakonnice wymagały, żeby dziewczynki kąpały się w koszulach dla przyzwoitości. Ale za naszych czasów już tego nie było, żadnej kąpieli w koszulach, tylko normalnie na goło.

U urszulanek było takie małe muzeum przy pracowni geograficznej. Urszulanki tam gromadziły pamiątki, takie eksponaty przywiezione nawet z Chin. Poza tym uczennice miały za zadanie każda z dzielnicy [Polski], w której mieszkały, przywieźć coś charakterystycznego. I myśmy zamówiły na Suwalszczyźnie, bo jeszcze rodzice tam mieszkali, [buty] drewniane, tak zwane klumpie. Więc to były całe drewniane buty, takie chodaki, ogromne chodaki. Noszono to nawet w zimie, nogi owijając onucami, bo w ogóle wymagały onuc takie chodaki, bo były twarde, stukające bardzo. Oprócz chodaków nosili też na Suwalszczyźnie tak zwane objaki – drewniana podeszew, a wierzch skórzany.

Z naszych koleżanek takich później znanych to była Beata Artemska. Kiedyś się nazywała Kelles-Krauze. Ojciec jej był takim znanym architektem. Beata Kelles-Krauze robiła wywiad z dyrektorem Rodziewiczem do naszego pisma szkolnego „Dziś i Jutro” i wywiad się bardzo udał. No, z czasem ta Beata Kelles-Krauze, późniejsza Artemska, była w szkole dziennikarskiej. Wojna wybuchła, to wtedy ona już pracowała w teatrze, po wojnie pracowała, no bo w latach okupacji przecież nie. Wtedy była żoną Artemskiego, który miał sklep żelazny w Lublinie.

Data i miejsce nagrania	1999-01-01, Lublin
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"